

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Marsz uśmiechów

Rano niefortunna kąpiel pod prysznicem. Już lały się na mnie strugi wody, gdy odkryłem, że zapomniałem przewiesić ręcznik przez kabinę. Więc mokry człapię po niego. Wracając, poślizgnąłem się, bo po mojej wycieczce zrobiły się małe kałuże. I wywinąłem orła. Zabolało lewe biodro. Jeszcze leżę, a już niepokój, że nie będę mógł pójść na niedzielny marsz, od razu postanawiam, że pójdę nawet o kulach, Szwejk jechał przecież na wózku inwalidzkim na I wojnę światową. Okazało się jednak, że nic poważnego mi się nie stało.

Trochę jednak utykając – na Marsz Miliona Serc. Wartkie strumienie ludzi zlewają się do głównej rzeki. Spotykam kilku znajomych, też eurodeputowanego Janusza Lewandowskiego i Andrzeja Zozulę, kolegę z opozycji. Kilka osób wita się ze mną serdecznie, a przecież ich nie znam, za to oni mnie znają pewnie z czasów, kiedy jeszcze bywałem w telewizji. Na marszu poczucie braterstwa. Żadnej agresji. Wiele uśmiechów. Nienawiść za to w Katowicach, gdzie konwencja PiS. A my, idąc szklanym lasem wieżowców, wcześniej doszliśmy do mety marszu, do ronda „Radosława”, pod wielką biało-czerwoną flagę z kotwicą. I tam czekamy, aż dojdzie głowa marszu. Wystąpienie Tuska średnie jak na jego możliwości. Ilu było ludzi? Bardzo dużo, nikt tego nie policzy, jeśli nie milion, to na pewno kilkaset tysięcy. Zionący nienawiścią prezes w Katowicach, na konwencji PiS, mówi ze złośliwym uśmiechem, że doniesiono mu o ledwie 60 tys. popleczników Tuska zebranych w Warszawie. Milion a 60 tys., pomiędzy tymi dwiema „prawdami” przepaść, kto w nią wpadnie, nie wyjdzie z tego cało. Pozytywna energia tego marszu na pewno nie ulotni się do 15 października, będę wtedy wracał z dalekiego Głogowa i muszę zdążyć, zanim zamkną mi lokal. Bardzo się tym przejmuję. Jakby od tego zależał wynik wyborów.

Kampania wyborcza coraz brutalniejsza, brakuje tylko trupów. Nie ma ich. Nie ma nawet pobić, na razie tylko małe, bardzo nieliczne i w sumie niegroźne akty agresji. To niepojęte. Jak to możliwe przy takiej wzajemnej nienawiści żadnej krwi? Wilgotne nosy mediów węszą, ale nie ma zbrodni. Czy to nasza narodowa cecha – dużo złorzeczenia, a mało aktów przemocy?

Ktoś mi polecił cieniutką książkę „Pogo” Jakuba Sieczki, lekarza, który przez sześć lat jeździł karetką. Pogo to

skrót od pogotowie ratunkowe. Książka zdaje się pisana na jednym oddechu. To opowieść o granicy życia i śmierci, a takie granice zawsze nas fascynują. Autor opisuje doświadczenie 8 tys. przepracowanych godzin, spotkań z ludźmi w ostatecznych sytuacjach. Ci, których odwiedza pogotowie, jeśli są przytomni, wiele mówią. Autor pisze: „W mieście drzemią tysiące opowieści – prawdziwych, prawdziwie zmyślonych, estakady z dziesiątek lat poupychane w starych głowach”.

Piszę książkę, mój alfabet, czyli „Alfabet Jastruna”. Z tych bardziej znanych jest alfabet Słonimskiego, Miłosza, Kisielewskiego. Kolejnymi literami idzie się po schodach wspomnień, pisząc o ludziach, ale też o rzeczach i zjawiskach. By wspomóc pamięć, którą mam chorobliwie słabą, czytam swoje dzienniki, pierwszy zeszyt zapisany, gdy miałem 13 lat. Co ja mam teraz wspólnego z tym dzieckiem? Nic. Ale przecież te późniejsze lata również jakby moje nie moje. Prawie nic się nie pamięta ze swojego życia – co najmniej 95%. A jak nawet coś się pamięta, to koślawo, nieprawdziwie,

**Na marszu poczucie braterstwa. Żadnej agresji.
Nienawiść za to w Katowicach, gdzie konwencja PiS.**

czasami nawet kłamliwie. Najcenniejsze rzecz jasna opisy spotkań z wielkimi: Giedroyc, Miłosz, Szymborska, Mrozek, Herbert. Spotkania nawet przelotne zostawiają po sobie sceny, czas przydaje im wartości. Ale jako że pisałem już nieraz o tych wielkoludach, ogromnie mi trudno pisać na nowo, to dobre teksty, ale jak ich teraz użyć, są jakby w innej tonacji, niż pisana jest książka. Czytając swoje dzienniki, jak nieporadnie pisane, nieporadnie gdzieś do 30. roku życia, widzę, że wiele scen mi uciekło, chociaż kiedyś już przeglądałem te zeszyty, szukając bakalii, czasami coś przegapiłem. Choćby 1970 r., 30 marca – Herbertowie są u nas na lwickiej, mam 20 lat, nalewam poecie koniak do kieliszka. Uśmiecha się i mówi: „Pan już wie, że ja jestem alkoholikiem”. Herbert z żoną Kasią bywali często w moim rodzinnym domu i tu już są dłuższe historie. Wracając do całości moich dzienników, okropne uczucie, że przeszłość jest zmieniona w kopczyki popiołu, byle podmuch i wszystko się rozsypuje.